

W NIEWOLI I U WYZWOLICIELI

Pochodzę z Tomaszowa Mazowieckiego. Urodziłam się 3 października 1921 r. Tata Kazimierz był cieślą, pracował w fabryce „Milanów”, wytwarzającej sztuczne jedwabie; mama Bronisława, z domu Łabajczyk, zajmowała się domem. Pamiętam też babcię Teodorę ze strony mamy, która pochodziła z rodziny Chrzanowskich, jej matka była nauczycielką. Miałam jednego brata Stanisława, który był sześć lat ode mnie starszy, należał do harcerstwa i „Strzelca”. Skończył zawodówkę jako ślusarz, miesiąc przepracował i w 1938 r. poszedł do wojska, do 31. pułku Strzelców Kaniowskich w Sieradzu. Pamiętam, jak przyjeżdżał na przepustki. Mieszkaliśmy w kamienicy przy ulicy Św. Zofii, a później przy ulicy Krótkiej, w należącej już do Niemca „Rolandówce”, przy fabryce dywanów Rolanda. Ukończyłam tylko szkołę podstawową i robiłam na zarobek swetry na drutach, bo dopiero od osiemnastu lat przyjeżdżali do pracy. W szkole obowiązkowo chodziliśmy na niedzielne Msze, nie z rodziną, ale właśnie ze szkołą. Komuniści, którzy byli naszymi sąsiadami, również chodzili do kościoła.



Sklepy żydowskie, fabryki angielskie

Sklepy w mieście były na ogół żydowskie, a fabryki angielskie albo francuskie i niemieckie. Pamiętam, że do fabryki ojca już w 1938 r. dowożono ludzi do pracy autobusami. Bo to był zakład zatrudniający około 5 tys. osób. Tata zarabiał tam dużo – 100 zł miesięcznie. Gdy Niemcy zaczęli wypędzać Żydów, wielu znalazło schronienie w Tomaszowie.

Przed wojną

Spotykaliśmy się w grupie przyjaciół i rozmawialiśmy o wojnie. Ale nie spodziewaliśmy się, że ona tak szybko wybuchnie. Dyskutowaliśmy na łące o szansach, przygotowaniach, co będziemy robili, jak ona się rozpocznie. Tym dyskusjom przewodził Olek Ciotucha, brali w nich też udział m.in. Marian Jaworski i Antoni Cłapa. Ludzie robili zapasy. Polacy tuż przed wojną wybijali Niemcom szyby w oknach. Jak wojna wybuchła, to prywatni sklepikarze pozamykali sklepy i nie było można nic kupić. Nie było nic, chociaż pieniądze były.

1 września 1939 r.

Wojna zaczęła się o piątą rano. Usłyszeliśmy wybuch bomby zrzuconej z samolotu. Ona uderzyła w dom ciotki mojej najlepszej koleżanki Heli Namysławówny. Gdy szliśmy do kościoła, oglądaliśmy ten dom. Nie był jakoś doszczętnie zburzony, tylko miał zniszczony dach. To był jedyny incydent. Dzień później weszli już do miasta Niemcy i ludzie zaczęli w panice uciekać. Ojciec dostał wypłatę pierwszego września. Nie można było jednak dojść do fabryki, więc pensje wypłacano m.in. w kościołach i szkołach. Ojciec wziął pensję i już nie przyszedł

do domu, uciekał na wschód, doszedł do Bugu. Kiedy Sowieci zaatakowali Polskę, wrócił do domu. Niemcy wtedy jeszcze nic nie robili w mieście, tylko maszerowali na wschód.

Ucieczka przed Niemcami

Brat walczył i zostałam w domu sama z mamą. Jak wszyscy zaczęli uciekać, to i my też. Zabrałyśmy rzeczy na plecy i pieszo w drogę. Nie pamiętam, ile uszłyśmy, ale dotarłyśmy pod sam front walk. Wojsko było w lesie i jak samoloty zaczęły nagle bombardować, to my leżałyśmy w kartoflach. Popijałam sobie sok malinowy. Co podnosiłam głowę, to widziałam, jak niemieckie samoloty strzelały i zrzucały bomby na kawalerię i tabory. Nasi żołnierze polscy padali jeden za drugim i ich konie, ciągle następni... to było straszne. Nie zapomnę tego nigdy. Nasze wojsko nie miało tam żadnych szans. Po tej walce wróciliśmy do Tomaszowa.

Śmierć brata i milczenie

Mojemu bratu 7 września miała już skończyć się służba wojskowa i miał wrócić do domu. Wojna pokrzyżowała te plany. Szedł z Sieradza do Warszawy. Nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Wiem, że obsługiwał działą przeciwpancerne. Zginął 9 października we wsi Dziecinów koło Garwolina. Miał wtedy 24 lata. Dowiedziałam się o jego śmierci od dwóch kolegów, którzy byli razem z nim i wrócili do domu. Ponoć mógł uciec jak inni do domu wcześniej, ale jednak został i walczył, aż poległ. Dostał od Niemców serię z karabinu maszynowego w głowę.

Tylko ja wiedziałam o jego śmierci i przez pół roku ukrywałam to przed rodzicami. Nie chciałam zadawać im cierpienia. Mama dowiedziała się o tym od matki jednego z tych kolegów, ale nie miała do mnie pretensji. To milczenie było dla mnie bardzo, bardzo trudne.

Mieszkanie u Niemca

Kamienica mieściła się przy ulicy Krótkiej 3. Właściciel miał na nazwisko Kurtz. Prowadził też sklep. Miał dwóch synów. Pamiętam, jak podczas wojny szłam przez podwórze, a jego syn, który był o wiele młodszy ode mnie i był w Hitlerjugend, podszedł i uderzył mnie w twarz. Mój tata wzburzony podszedł i zwrócił jego ojcu uwagę. Oni się panoszyli i potem nas wyrzucili z mieszkania dwupokojowego do kawalerki. Nasze zajęli niemieccy kierowcy.

Pamiętam też, jak jedna Żydówka, jeszcze zanim powstało w mieście getto, zebrała o jedzenie i poprosiła tego Kurtza o żywność, a on pluł na nią i wyzywał ją, aż sobie poszła. Ci Niemcy to były świnie. Jego synowie poszli później do wojska.

Odkopanie zwłok brata

To był lipiec 1940 r. Wybraliśmy się z ojcem, we dwoje, pieszo do Dziecinowa. To była niedziela, padał deszcz. Schroniliśmy się u miejscowych i oni się pytali, co tu robimy. Wyjaśniliśmy, że szukamy mojego brata, a oni zaprowadzili nas tam, gdzie pochowali



Stanisław Zajęc, w 1938 r.
w 31. Pułku Strzelców
Kaniowskich w Sieradzu

żołnierzy, i pokazali nam tabliczki, które nosili ci żołnierze. Mój brat, mimo że nazywał się Stanisław, na tabliczce miał wybite imię Stefan.

Gdy tata zobaczył grób syna z brzoźowym krzyżem, rzucił się na ziemię, zaczął płakać. Załatwiliśmy formalności w gminie i u księdza. Był straszny upał, gdy wykopaliśmy zwłoki. One już zaczęły się rozkładać. Brat leżał w dole razem z innym żołnierzem. Miejscowi zdążyli już wcześniej zabrać im mundury i buty. Gdy tata wkładał do trumny zwłoki brata, to urwała się głowa. To było straszne. Potem zawieźliśmy zwłoki obu żołnierzy do kościoła w miejscowości Sobienie-Jeziory, gdzie odbył się pogrzeb.

Zostałam z mamą

Z czasem, gdy zaczynało brakować jedzenia i pieniędzy, jeździliśmy z mamą kopać ziemniaki do Komorowa. Ojciec chodził do lasu ścinać gałęzie. Woził i sprzedawał je Żydom. Niemcy zatrudniali nas młodych, dawali nam nawet legitymacje, że pracujemy.

Była bieda i ludzie, aby przeżyć, wyjeżdżali nawet dobrowolnie na roboty do Niemiec. Mój tata też pojechał do Neustadt koło Berlina. Niemcy płacili nam przez jakiś czas za to, że on tam był. Ojciec przysyłał stamtąd paczki z żywnością.

Cud

We wrześniu 1942 r. Niemcy przyszli o piątej rano po mnie do domu. Mama klękała przed nimi, płakała, żeby mnie nie zabierali, że ona ma tylko mnie, że ojciec jest w Niemczech, ale oni ją odepchnęli. Zabrali mnie do szkoły, a potem do zbiorczego obozu w Częstochowie. Tam były piętrowe prycze ze słomą. Dawali nam zupę bez łyżek. Zrobili nam dezynfekcję. Każdy musiał się rozebrać, rzeczy składaliśmy na stertę. Gdy chodziłam po obozie, zastanawiałam się – co ja tu robię? Nikt nie pilnował bramy, gdy wyjeżdżały furgonki. Usiadłam na jednej z nich i wyjechałam przez bramę. Nikt mnie nie zatrzymał.

Byłam bez pieniędzy i tłumacząc swoją sytuację, poprosiłam o wsparcie przechodnia na ulicy w Częstochowie. Okazało się, że on był z Tomaszowa, i dał mi wtedy 20 zł. To było dużo pieniędzy. Dla mnie to był cud. Poszłam pomodlić się na Jasną Górę, a potem szybko na dworzec PKP. Wróciłam do Tomaszowa pociągami. Mama się ucieszyła, ale byłyśmy w strachu, że się to wyda, zwłaszcza że mieszkaliśmy u Niemca.



Od lewej: Barbara Brocka z Bydgoszczy, Janina Zając (autorka), „Mama” Franja Januszewska z Kieleckiego, Grünberg 1943 r.

Łapanka

Po dwóch tygodniach, na początku października 1942 r., poszłam do kościoła św. Antoniego na mszę dla młodzieży. Gdy wychodziliśmy, Niemcy zrobili łapankę i zatrzymali nas w pobliskiej remizie. Tam odbyła się segregacja. Mama przyniosła mi tam torbę z rzeczami i znowu trafiłam do tego obozu w Częstochowie. Było odswadzanie, kąpanie, dezynfekcja i rozsyłanie do obozów koncentracyjnych i innych miejsc. Obóz był już dobrze strzeżony. Stamtąd wysłano mnie do Wrocławia, gdzie ustawiono nas na wielkim placu. Przyjechali tzw. „kupcy” i wybierali sobie te osoby, które były im potrzebne do pracy na roli czy do fabryki. Upokarzające było, że nago musiałyśmy chodzić po jedzenie, pilnowali nas wtedy ukraińscy żołnierze w niemieckich mundurach. Stamtąd trafiłam do Grünbergu, czyli Zielonej Góry.

Praca dla Niemców

Gdy nas przywieźli na miejsce, to znowu było odswadzanie. Znowu trafiłyśmy w ręce Ukraińców i oni się tak bezczelnie bawili, że kazali pojedynczo wchodzić do pokoju kobietom i siadać na specjalnym stojaku, na którym obcinali owłosienie łonowe. Oni nie liczyli tych kobiet, więc udało mi się uniknąć tej upokarzającej wizyty. To było w stolarni obok szpitala wojskowego, przy obecnej ulicy Wazów. Stamtąd trafiłam na ulicę Lisią do budynku przy fabryce. Dostałyśmy prycze, sienniki, słomę i koc. Budynek był piętrowy. Radzieckie dziewczyny mieszkaly nad nami. One tam sikaly na podłogę i przez sęki ten mocz spływał do nas. Stamtąd przeprowadziłyśmy się do sali, gdzie mieszkało 110 dziewczyn. Dali nam arbeitskarty i pracowałyśmy po 12 godzin na zmiany, robiąc amunicję dla Niemców. Tam byli ludzie z różnych krajów: Anglicy, Francuzi, Czesi. Moja fabryka nazywała się Christ i Spółka (po





Halina Puścian z Baranowicz i Janina Zajęc, Grünberg (Zielona Góra), 20 sierpnia 1943 r.

wojnie fabryka Zgrzeblarek Bawełnianych „Falubaz”). Był też Boiheld (po wojnie Zakłady Wagonów „Zastal”). My robiłyśmy amunicję do dział przeciwpancernych.

Poparzenie

Aby się myć czy zrobić pranie, musiałyśmy grzać wodę w garnku, stawiając go na żużel w piecu centralnego ogrzewania. Chciałam garnek po praniu wyciągnąć z pieca, ale on mi się przewrócił, woda się wylała i gorąca para mnie poparzyła; całą twarz, pierś, rękę i bok. Koleżanki posmarowały mnie kremami i przykryły prześcieradłem, ale to wszystko zmieniło się w nocy w pęcherze. Miałam wrażenie, jakby gryzły mnie pluskwy, których tam nie brakowało. Prześcieradło się przykleiło do pęcherzy i koleżanki zaczęły mi je zdierać razem ze skórą. Na szczęście przyjechał w końcu lekarz i skierował mnie do szpitala dla cudzoziemców. Uratował mnie radziecki doktor, który się mną opiekował. Nie mam ani jednej blizny, choć byłam w szpitalu 33 dni. Po tej chorobie dostałam 2 tygodnie zwolnienia. Pod tym względem nie traktowano nas źle – np. jak kobieta zaczynała miesiączkować i zgłosiła to lekarzowi, otrzymywała dzień wolnego z pracy.

O nas dbali, Żydówki gnębili

Na początku miałyśmy tam bardzo dobrze. Dostawałyśmy dobre jedzenie (np. obiad z trzech dań). Bywał bigos, śledzie, kurczaki i sałatki. Dawali też kartki na 2 kg ciastek. Dostawałyśmy na tydzień jeden cały chleb i ćwierć – to było dosyć mało – oraz cukier, marmoladę, kawałek kiełbasy. W tej fabryce pracowali z nami też Niemcy. Traktowali nas normalnie, znacznie gorzej traktowali Żydówki. Niemcy strasznie się nad nimi znęcali, np. nie pozwalając chodzić do ubikacji, aż zaczęły się załatwiać za maszynami. Później musiały pokazywać specjalne kartki. Gdy przywożono im zupę do fabryki, to rzucały się na to jedze-

nie jak sępy, wtedy ich niemieckie „opiekunki” biły je, aby ustawiły się w kolejkę. Czasem dzieliłyśmy się z nimi jedzeniem. One chodziły do fabryki piecho z dzisiejszego Przylepu, zmarznięte, poowijane, opatulone. Jednego dnia po prostu nie przyszły do fabryki. Może je rozstrzelano? To były Żydówki głównie z Węgier. Nikt z nas już ich nie widział. To był 1943 r. Nie działał tam żaden ruch oporu. Nikt nie walczył z Niemcami, a oni nas nie bili.

To była swoboda

Mogliśmy chodzić po mieście bez żadnej obawy, pozwolenia czy niemieckiej eskorty. Niemcy w porównaniu z tym, jacy byli w Polsce, tu byli w stosunku do nas o wiele łagodniejsi. Chłopa mogli trenować boks, grali w piłkę nożną. Robiliśmy zabawy, na których można było sobie potaćzyć. Funkcjonował też teatr. Na święta wielkanocne każdy dostawał po pół blachy placka, kielbasę. Na Boże Narodzenie podobnie. Później, jak sytuacja Niemiec się pogarszała, to jedliśmy sos ze ślimaków, zupę z dyni, do tego po cztery ziemniaki w łupinach i kapustę. Był targ, na którym można było kupić sobie warzywa, choć były kartki. Był też czas, że kradliśmy jedzenie, aby przeżyć. Czasem chodziłyśmy też do bauera kopać ziemniaki.

Wyjazdy do narzeczonego

Przyszłego męża poznałam korespondencyjnie. Najpierw poznałam jego brata Bolestawa Szycha, jeszcze w Tomaszowie, a później widzieliśmy się w obozie w Częstochowie. On pojechał do Oświęcimia, z którego uciekł i ukrywał się u granatowego policjanta w Wolbromiu. Pisałam do Bolestawa na adres brata Władka, który mieszkał w Lesznie. Do Wolbromia nie miałam adresu, więc korespondowaliśmy z Władkiem przez rok, nie znając się. O Władku opowiedziała mi kiedyś koleżanka, która знаła go z Leszna. W końcu pojechałam do niego i tak się poznaliśmy. Jeździłam kilka razy bez pozwolenia do Leszna z Zielonej Góry i tylko raz mnie złapali, każąc płacić karę w wysokości 20 marek.

Msza dla Polaków

W Zielonej Górze chodziliśmy do kościoła pw. św. Jadwigi. Proboszczem był niemiecki ksiądz Georg Gottwald. On udostępnił nam salę. Jeden z kolegów był organistą i raz w miesiącu mieliśmy w niej swoją Mszę po łacinie, ale pieśni śpiewaliśmy po polsku. Ten, kto znał niemiecki, mógł się u proboszcza wypowiadać i przyjąć Komunię. Ksiądz nawet zaproponował, że jeśli ktoś nie zna języka niemieckiego, to może się wypowiadać, mówiąc po polsku, i potem przyjąć Komunię. Wyjechał z Zielonej Góry do Niemiec w 1946 r.

Powstańcza krew płynęła rynsztokami

We wrześniu 1944 r. przyjechało trochę osób z Warszawy i opowiadały nam o Powstaniu Warszawskim. Pamiętam jedną z nich, która paliła bardzo dużo papierosów i zamieniała rzeczy za papierosy i tytoń. Opowiadała, że w Warszawie krew płynęła rynsztokami. Trudno nam było w to uwierzyć.

Sabotaż

Dwa tygodnie przed wejściem Rosjan Niemcy zaczęli uciekać z Zielonej Góry i zamknęli fabrykę. Później otworzyli ją na kilka dni. Musieliśmy do niej iść, aby mieć co jeść. Wtedy zaczęli wywozić w głąb Rzeszy maszyny z fabryki. Chłopcy rozpoczęli sabotaż i sypali piach do maszyn, aby utrudnić Niemcom odtworzenie fabryki, aby przeszkodzić. Niewiele tych urządzeń w końcu sąd wywieźli. Potem znów fabrykę zamknęto.

16 lutego 1945 r.

Przed „wyzwoleniem” pracowaliśmy z przerwami, ale jak już wiedzieliśmy, że wejda Rosjanie, to rozeszliśmy się z naszych łagrów. Ja zamieszkałam u koleżanek przy obecnej ulicy Strzeleckiej i stamtąd widziałam przybycie żołnierzy Armii Radzieckiej. Oni wjechali bryczką i zapytali: *Czasy imiejetie?* Co oznaczało, czy nie mamy zegarków, które oni nagminnie zbierali. Bardzo zdziwiło nas to ich powitanie. Rosjanie weszli do Zielonej Góry 16 lutego 1945 r. Pamiętam, że z kamienicy wyszedł starszy Niemiec i częstował Sowietów winem, z czego bardzo się ucieszyli.

Niemcy w mrozie uciekli i Sowietci zdobyli to miasto bez walki, nikt go nie bronił. Choć przy obecnej ulicy Dąbrowskiego widziałam potem kilku zabitych żołnierzy sowieckich.

Strach przed gwałcicielami

Od tej pory zaczęła się dla nas kobiet gehenna. Ani jednej nocy nie przespałam w domu, ukrywając się przed nimi. Sowietci rozbijali sklepowe szyby, okradali sklepy i bardzo latali za kobietami. Pamiętam, jak wracałam od koleżanki i zaczęło iść za mną dwóch żołnierzy sowieckich. Zatrzymali mnie, wyciągnęli pistolet i kazali iść z nimi, a ja wtedy w płacz, że mam chore dziecko, że szukam lekarstwa, a w domu został chory mąż. W końcu mnie puścili, mówiąc: *uchodzi*.

Schroniłam się z dwoma lwowiankami w domu, w którym spali obcokrajowcy, ale ci sowieccy żołnierze się nami interesowali, a my się bałyśmy. Oni chodzili ciągle pijani. Poszłyśmy do ich komendy, powiedziałyśmy, że boimy się tam spać, a na to *starszyna*, że jak się tam ich boimy, to możemy przyjść do niego tutaj spać. Tyle nam pomógł. Ta sytuacja spowodowała, że zaczęłyśmy zastanawiać się, jak uciec z tego miasta.

Pojawiły się ogłoszenia, że oni wystawiają przepustki – tzw. *bumażki*, dzięki którym można stąd wyjechać do domów. Oddałam Sowietom przepustkę do fabryki, żeby nie oddawać *arbeitskarty*, ale oni nas oszukali, zabrali dokumenty i zatrzymali nas do pracy. Urządzili w szkole szpital i my cały dzień im w tym pomagałyśmy, ale i tak nie wydali nam żadnego dokumentu. Po tym wydarzeniu chciałyśmy uciec już za wszelką cenę.

Wyjazd

Wzięłyśmy więc wózek z czterema kółkami i ruszyłyśmy. Zatrzymał nas sowiecki żołnierz przy mleczarni na ulicy Podgórznej. Jechali już jednak Polacy z Piotrkowa Trybunalskiego w podwodach wojskowych. On kazał im nas zabrać do Polski. Dojechaliśmy jednak tylko do Odry, a tam zatrzymano nas na kilka dni do pracy, do budowy drogi. Dużo osób tam pracowało. W nocy trzeba było się chronić, uciekać. Sowietci zrobili pod wieczór specjalne zebranie dla mężczyzn, a podczas jego trwania szukali kobiet. Z lwowiankami schowałyśmy się w jakimś mieszkaniu we dwie za szafą z ubraniami, a trzecia za inną szafką. Sowietci przyszli raz, ale nas nie znaleźli. My ze strachu załatwiałyśmy się tam pod siebie. Przyszli potem drugi raz. Koleżanka powiedziała, że ona już nie może, i położyła się na podłodze. Żołnierz jej nie zauważył, a nawet zrzucając w nerwach pierzynę z łóżka na podłogę, nieświadomie przykrył lwowiankę. Tak się uratowała.

Bestialstwo wyzwolicieli

W pokoju obok była polska rodzina wracająca z Niemiec; mąż z żoną i dzieckiem oraz matka i ojciec jednego z nich. Sowietci dopadli kobietę i tak gwałcili, że do rana umarła. Była trzy tygodnie po porodzie swojego dziecka. Straszne to było. Zrobiła się jednak z tego afery i nas puścili dalej do Polski. Spałyśmy ze strachu pod łóżkami, w stodółach i na strychach.

Później, jak szłyśmy, to chciałyśmy zdobyć jakąś wodę czy mleko do picia. I usłyszałyśmy jakiś dziwny głos, jakby zwierzęcia, cielaka, a po chwili zobaczyłyśmy trzech Sowietów, którzy prowadzili młodą dziewczynę, wcześniej przez nich gwałconą. To ona tak nieludzko krzyczała. Oni chcieli zabrać wtedy do siebie jedną z lwowianek i zaczęli ją szarpać. Broniła jej druga koleżanka, ale żołnierz kopnął ją w brzuch. Zaczęła krzyczeć, że jest w ciąży. Zrobił się tumult i w końcu nas puścili. Miałam kasetkę ze zdjęciami i jeden z tych żołnierzy chciał, abym ją otworzyła, a ja nie chciałam. W końcu on strzelił w zamek i wszystkie zdjęcia się rozsypały.

Wśród swoich

Nie uszliśmy daleko, koło Wschowy znów nas zatrzymano. One poszły do jakiegoś majątku i już ich potem więcej nie widziałam. Mnie przydzielono do pięciu starszych Polaków, którym miałam gotować. Tam było bezpiecznie. Z Warszawy jednak przyjechali ludzie na szaber i mówili nam, aby wracać, uciekać stąd. Po jednej nieudanej próbie udało się uciec nad ranem. To był marzec. Uciekaliśmy wzdłuż torów. We Wschowie byli już Polacy, którzy dali nam jeść, a stamtąd trafiłam do Leszna, do rodziny mojego chłopaka Władysława Szycha, gdzie spędziłam Wielkanoc. Stamtąd pojechałam do Tomaszowa.

Ślub i powrót

W maju odwiedził mnie w Tomaszowie mój przyszły mąż. Dostałam już kartę poborową do wojska, jednak jeśli kobieta miała męża, to nie brano jej do sowieckiej armii. I to przyspieszyło nasz ślub. Zawarliśmy małżeństwo 15 lipca 1945 r. w Tomaszowie Mazowieckim. We wrześniu wróciłam do Zielonej Góry, gdzie osiedlił się ojciec i brat męża. Wróciłam do swojej fabryki i zobaczyłam, jak przez ten krótki czas została spustoszona. Okradziono ją i wywieziono na wschód wszystkie maszyny. Na dworcach natomiast stało pełno maszyn do szycia. W fabryce znalazłam swój metalowy numer 213. Mam go do dziś. Niemców nie było i powoli zajmowano ich puste domy. Jeszcze raz stamtąd wróciłam do domu. Na stałe zameldowałam się w Zielonej Górze 6 stycznia 1946 r. Przez dwa lata pracowałam w sklepie, prowadząc kwaciarnię, a po urodzeniu dzieci w zakładach Polskiej Wełny. Mieszkam tu z mężem, ciągle w tym samym domu przy ulicy Podgórznej, do dziś.



Janina z d. Zając i Władysław Szychowie, Zielona Góra 2005 r.